

A. S.: Pana dzieje sceniczne od przeszło dwudziestu lat biegają w zasadzie bez zaburzeń i po szczytach. Nawet wtedy, gdy sztuka w Polsce przeżywa prestiżowe rozdarcia. Będąc wrocławską i odwołując Pana podszewką na zewnątrz: czy był/ jest Pan zorganizowany w PZPR? Ten merkantylny zabieg w świecie mododawczej kultury polskiej wiele ułatwia.

J. Z.: Może to brzmieć niewiarygodnie, ale nie należąc nigdy do żadnej partii, miałem i mam – w moim przekonaniu – wystarczające możliwości rozwoju zawodowego w Polsce. Staram się zachować swą niezależność i jak dotąd odczuwam mi to pozytywnie.

A. S.: Posiada Pan zatem jakąś inną „recepcję” na zawodowe powodzenie aktora? Przypomnijmy choćby ważniejsze fakty z Pana artystycznego curriculum vitae. Już w czasie studiów (PWST w Warszawie), otrzymuje Pan wielką rolę Ramzesa XIII w filmie Jerzego Kawalerowicza *Faraon*, o jakiej marzyć może nie tylko początkujący aktor. Potem: Judasz w *Pilacie i innych Wajdy* (produkcji zachodniemieckiej), Kapucyn w *Świętej Rodzinie Kondratiuka*, Łukasz Niepołomski w *Dziejach grzechu Borowczyka*, Profesor w *Hipnozje Zanussiego*, Doktor Murek w *Lesiewicz* serialu pod tym samym tytułem, no i Zygmunt August w *Królowej Bonie* Majewskiego. Występy w filmie węgierskim, czeskim, hiszpańsko-amerykańskim – *The widow's nest* (Wdowie gniazdo) w reżyserii Toniego Navarry. Pana aktorski rachunek liczy około 40 filmów w tym 15 ról głównych, często – władców.

J. Z.: Zwykle aktorzy mają jakieś ulubione role, strategię artystyczną, a nawet własny obraz aktora. Ja raczej nie mam takiej statycznej wizji własnej. Nie mogę nawet powiedzieć, że znam samego siebie. Ja się siebie wciąż uczę. I motywacje podjęcia studiów teatralnych wywodzą się u mnie gdzieś spoza rozumowych sfer. W ogóle dopiero chyba 10 lat temu prawdziwie polubiłem aktorstwo, kiedy potrafiłem docenić rozwijającą człowieka wartość klęsk, porażek, gdy ustąpiło napięcie oczekiwania na sukces.

Lubię natomiast higieniczne życie zawodowe, przez co rozumiem rodzaj płodozmianu: jeżeli zbyt długo gram role tragiczne, tęsknię za humorystyczną farsą. Staram się ról nie naginać do siebie i wolę się wcielać we wciąż nowe postacie. Nie może się to odbywać ani za cenę postaci kreowanej, ani kosztem aktora. Postać-rola ma wyzwalać mnie skrywanego, możliwego. W ten sposób dokonuje się często daleko idące samopoznanie, niekiedy płynące z tego autoterapia. Aktor, poznając bardziej siebie, odkrywa pewne mechanizmy psychologiczne człowieka artystycznego przypisania. Najpiękniejsze bywa to, gdy sztuka dla aktora staje się życiem; gdy rola powierzona mi i życie wzajem się inspirują, przechodząc w coś w rodzaju scementowania aż po zatracenie granic samego siebie. Czysto zawodowe traktowanie aktorstwa nie miałoby głębszego sensu. Szukam w tym zawodzie pełni człowieczeństwa. Gdy dostaję nową rolę, zaczynam zawsze od początku, jakby przerebywanie lasu. W każdej z możliwych ról szukam po prostu własnej prawdy. A każda rola odegrana staje się sprawą dla mnie zamkniętą. Naturalnie, łakomym kąskiem są role bogate. Ale najczęściej nie wybiera się je samemu. Aktora pozwala do bytu także reżyser.

A. S.: Jakby „płodozmian” uprawia Pan nie tylko przez rzucanie z siebie skór odegranych postaci, ale też w ciągłym przeszkakiwaniu ze środowisk artystycznych przez Pana już poznanych do nowych. Po studiach – zespół Teatru Starego w Krakowie, a więc przy boku Jerzego Jarockiego i Konrada Swinarskiego. Wkrótce potem oglądamy Pana w Warszawie w Teatrze Dramatycznym pod kierownictwem Bratkowskiego i Holoubka. Następnie w Teatrze

Alina Siomkajło

Rozmowa z Jerzym Zelnikiem

Powszechnym Hübnera. W międzyczasie gościnnie daje Pan występy na scenach różnych miast polskich i współpracuje wciąż z radiem i telewizją. A ostatnio związał się Pan podobno z eksperymentalną i kontrowersyjną sceną Grzegorzewskiego. W świetle tego, co usłyszałam przed chwilą o kunszcie aktorskim, zaczynam widzieć Pana nawet w Teatrze Studio. W kogo przyjdzie się Panu przemienić w najbliższym czasie?

J. Z.: Metamorfoza ta dokonała się już w maju ubiegłego roku. Jako że wtedy właśnie zaproszono mnie na scenę studyjną do roli Klaudiusza w *Hamlecie* w reżyserii Guido de Moora. Odtąd pozostaję w tym teatrze i oczekuję mnie zapewne nowe propozycje.

A. S.: W Londynie oglądałam Pana w typowej farsie jako dyrektora teatru waganckiego w *Porwaniu Sabine* Juliana Tuwima i w monodramie *Uwiedziony*, przyrządzonej wg powieści Jeremiego Przybory. Inscenizacje otrzymały w prasie miejscowej wysokie oceny. Nie uwłaczając w niczym pozostałym wykonawcom *Sabinek*, Pana grę przymierzylabym do Norwidowego waloryzowania sztuki aktorskiej: „w piąty poruszeniu [...] widać duszę jak zadziała”. Skale własnych możliwości pokazał Pan zwłaszcza w *Uwiedzionym*, gdzie trzeba się było przeobrażać chyba w sześciu rolach (syn księcia, ksią-

żę, Jagusia, synek-dziecię, człowiek z nowego świata – działacz, pani Hunc). Wybrał Pan jedną z trudniejszych form, a mianowicie monodram. Czy znaczy to, że sięgnął już Pan do szczytów sztuki i dojrzałości aktorskiej?

J. Z.: Pierwszy monodram wystawiłem chyba 15 lat temu. Było to wg Wyspiańskiego *Studium o Hamlecie*. Następnie: wg Gombrowicza fragmentów z *Ferdynurka* i Norwida *Dopokąd idę*. Sam dokonałem całościowej adaptacji monodramu, tzn. również parą się opracowaniem literackim. Przygotowuję mnie to – być może – do przyszłej większej roboty reżyserkiej. I rzeczywiście Teatr Jednego Aktora absorbuje coraz bardziej w miarę chyba wynikającego z praktyki niejako subtelniejszego nerwu aktorskiego.

A. S.: A co z *Uwiedzionym*? Tekst satyrycznie traktuje jaskrawości przemian społecznych w Polsce lat już przed- i tuż powojennych.

J. Z.: Tak dowcipnie się składa, że jestem spod znaku Panny, więc „uwiedziony” i w tym pozamodramatycznym znaczeniu. W sztuce zaś – jak mi się wydaje – mamy przede wszystkim konfrontację dwu kultur: odchodzącej – tradycyjnej i nowej – wstępującej. Rzecz dają na scenach polskich już od pięciu lat. Jej reżyserem był mój ojciec – Jan Zelnik, w około 30-

-letniej przeszłości reżyser radiowy. Wiele mu zawdzięczam.

Ń.S.: Jakie inne autorytety są w Pana życiu?

J. Z.: Ziemskie autorytety podlegają ciągłej weryfikacji. Jestem chrześcijaninem, co ma dla mnie znaczenie w każdym miejscu mego bytowania. Chrystus jest moim największym autorytetem, drogowskazem i przewodnikiem. Przed dwudziestoma laty byłem jeszcze ateistą. Naukę Chrystusa poznałem dzięki mojej żonie, która jest katoliczką, i potrafiła mnie zmobilizować do zagłębienia się w arkanawiary. Wyrazem zawodowo-praktycznym moich przekonań są między innymi próby w zakresie teatru religijnego na terenie Kościoła (*Brat naszego Boga* Karola Wojtyły, wieczory poezji patriotyczno-religijnej).

A. S.: Jak doszło do Pana przygodny londyńskiej?

J. Z.: Przyjaźniłem się ze zmarłą kilka lat temu wybitną aktorką angielską, Yvonne Mitchell. Graliśmy razem w *Wdowim gnieździe*. Przyjaźni tę podtrzymuje córka Yvonne, która właśnie zaprosiła mnie do Anglii. Miewam propozycje ról w języku angielskim, toteż można przyjazdu do Londynu po raz pierwszy uznać za szansę. Postanowiłem ufundować sobie prywatne stypendium. Natomiast, dzięki zaproszeniu Urszuli Święcickiej, z dużą satysfakcją włączyłem się w

prace Teatru Nowego, zespołu świetnie zdyscyplinowanego. Miałem też okazję oglądać kilka angielskich inscenizacji dramatycznych i musicali. Nie sprzyja mi tylko klimat angielski. Doszedłem jednak do sprawy pokonywania warunków atmosferycznych aktywnością wypełniającą po brzegi każdy dzień.

A. S.: Czy zechciałby Pan powrócić jeszcze do kwestii giędy kulturalnej? Jak Pan ocenia dzisiejszą sytuację sztuki w Polsce, szczególnie sztuki scenicznej?

J. Z.: W sensie materialnym sytuacja nie wygląda najlepiej. Mamy dużo przestarzałego sprzętu, niewiele pieniędzy na kostiumy, dekoracje. Brakuje dewiz na kupienie praw do wystawiania sztuk zachodnich. Znanie są również interwencje cenzury ograniczające swobodę twórczą – to chyba jeszcze przedsierniowy nawyk niektórych urzędników. A mimo tych wszechstronnych ograniczeń, mój nieoprawny optymizm każe mi wierzyć, że Pani Sztuka nie podda się łatwo.

A. S.: Może ważniejsze są dla sztuki w Polsce jej „podziemne” pędy rozwojowe?

J. Z.: Niewątpliwie jest to bardzo potrzebne i interesujące zjawisko w obecnej sytuacji kultury polskiej. Ale coraz bardziej – jak się wydaje – drugi obieg sztuki przestaje być nieoficjalny. Istnieją nawet próby pozyskania części tego nurtu dla kultury „nazimnej”.

A. S.: Dziękuję Panu za rozmowę z nadzieją ponownego ujrzenia na londyńskiej scenie.